



„Pepa, nie świruj”

Ida Pierelotkin

1. Ciacha i sorbety

czwartek, 15 października

Wracałyśmy z Pepą ze szkoły, przykładając się do tego we właściwy sobie sposób... Upłynęło już sporo czasu, odkąd opuściliśmy posępny budynek w nieokreślonym kolorze, czyli nasze umiłowane gimnazjum, a żadna z nas nie zbliżyła się do miejsca zamieszkania. Zwolnili nas godzinę wcześniej – nie było ostatniej lekcji, matematyki, bo Zakościelny złapał gripę. Zakościelny to nasz matematyk. Naprawdę nazywa się Dariusz Tołpyga, ale przezywamy go, ponieważ przypomina tego aktora z *Kryminalnych*, a raczej jego odbicie z krzywego zwierciadła. Jest karykaturą Zakościelnego: wszystko ma przesadzone, rozciągnięte lub wybałuszone. W ogóle nie wydaje się przystojny, a jednak podobieństwu nie sposób zaprzeczyć i dlatego ta ksywa tak nas wszystkich cieszy. Jego samego chyba też (zakład, że o niej wie!), ale raczej z innego powodu. Myślę, że jest przekonany, że on i Maciej Zakościelny są do siebie podobni niczym dwie krople wody, a jeżeli istnieją jakieś drobne różnice, to wyłącznie na jego korzyść... Zawsze, zanim wejdzie do szkoły, wyciąga z kieszeni lusterko i poprawia grzywkę. Ilekroć Pepa, Karina czy ja wpadniemy na niego w takim momencie, musimy się nieźle wysilić, żeby zachować poważny wyraz twarzy przy mówieniu „dzień dobry”. Kiedy dzień jest deszczowy lub, co gorsza, na chodniku zalega śniegowa breja, Zakościelny stąpa na paluszkach, byleby tylko nie zabrudzić nogawek spodni – zaprasowanych w kancik, w odcieniu kawy zbożowej Anatol (napój, którym opija się moja babcia, gdy podejmuje szczególnie brutalną walkę z nałogiem kofeinowym...). Pepa mówi, żeby dać spokój człowiekowi, że on należy do „wysoko przez nią ocenianego grona mężczyzn metroseksualnych; nie każdy facet musi włączyć się po świecie w spodniach na gumce i drelichowej szmacie na grzbiecie”. Ale – do licha z kawą zbożową i drelichami! – grunt, że ja i moja kumpelka spacerowałyśmy właśnie zalaną słońcem, upstrzoną żółtymi liśćmi ulicą, zamiast oglądać, jak pomocnik porucznika Zawady kreśli na tablicy farmazony w rodzaju „pierzkwadrat” i ględzi coś o właściwościach ostrosłupa (rewelacje niezbędne dla życia czternastolatek, którymi wraz z Pepą jesteśmy). Dlatego, mimo porywistego północnego wiatru przenikającego wiśniową kurteczkę Pepy – krótką i opiętą na biuście, z kapturem obszytym sztucznym liskiem – oraz targającego poły mego musztardowego prochowczyka z lumpeksu, żadna z nas nie narzekała na samopoczucie.

Na ulicach nie było tłoczno. Tu i tam snuli się samotni jesienni spacerowicze lub delektujące się melancholijnym, październikowym słońcem pary zakochanych. Zdarzali się też bladzi chłopcy z rękami wbitymi w kieszenie i smętnymi oczami – jak ci dwaj, którzy minęli nas przed chwilą. Nie sądzę, żeby łączyło ich pokrewieństwo, mimo że podobieństwo ich wizerunków wydawało się uderzające. Obaj ubrani w bluzy z kapturem, obaj w dżinsach rurkach i w złachanych tenisówkach na nogach, obaj z przydługimi włosami i z grzywkami opadającymi skosem na czoła. Obaj spojrzeli na Pepę z wyraźnym zaciekawieniem i obaj nie mieli u niej najmniejszych szans.

– Ale leszcze... – prychnęła z pogardą, ledwie oddalili się od nas na trzy kroki.

O ile się znam na takich sprawach, „leszcze” reprezentowali styl emo, z którego Pepa bezlitośnie kpiła i szydziła – zwłaszcza w wypadku chłopaków – uznając go za skrajnie niemęski. Jej osady i teorie wydały mi się nagle niekonsekwentne.

– Dlaczego emo jest słabe, a gogusiowość okej? – zapytałam przytomnie.

– Bo emo jest słabe, a ELEGANCJA okej – odparła krótko i uśmiechnęła się, zadowolona z własnej elokwencji.

– Myślę, że upraszczasz – skomentowałam przenikliwie.

Zamiast odpowiedzieć, Pepa wyjęła z torebki błyszczyk i posmarowała nim usta – rozbłyły jak polakierowane. Odruchowo sięgnęłam do kieszeni po wazelinową pomadkę. Kiedy tylko dotknęłam nią górnej wargi, Pepa skrzywiła się z niesmakiem. Miała taką minę, jakbym przejechała sobie po ustach zgniłą brukwią.

– Ten twój bunt... Jakie to dziecinne – westchnęła. Wzruszyłam ramionami, więc zaczęła przemawiać mi do rozsądku bardziej energicznie: – Zupełnie cię nie rozumiem. Twarz bez błyszczyka jest po prostu... naga. To gorsze niż włosy pod pachami! – zawołała ku uciesze mijającego nas starca, któremu widocznie brak znajomości kontekstu nie przeszkodził w załapaniu dowcipu. Pepa pokręciła głową. Aby się uspokoić i nabrać pewności, że jej twarz jest wystarczająco ubrana, nałożyła na usta kolejną warstwę „najlepszego przyjaciela dziewczyny” – jak nazywała tę kleistą maź, będąc już od niej ewidentnie uzależniona.

– Generacja plastikowych ust – zauważyłam tonem zgreda, który bardzo u siebie lubię.

Przez całe wieki (konkretnie: między piętnastym a początkiem dwudziestego) modelowano kobiety niczym drzewka bonsai, zasznurowując je w duszące gorsety. Koniec dziewiętnastego stulecia zasłynął dodatkowo idiotycznym, sprężynującym urządzeniem na pośladkach zwanym tiurniurą, natomiast...

– Nasze czasy będą znane z absurdalnego zwyczaju pokrywania ust lepką, lśniąca substancją, która ma uczynić je seksownymi! – Zaśmiałam się z pobłażaniem.

- I czyni. - Ku memu rozczarowaniu Pepa nie dała się sprowokować do intelektualnej dyskusji na temat błyszczyka. Ułożyła świecące usteczka w ciup i posłała mi całusa. Wędrowała u mego boku, nucąc pod nosem, a nawet podskakując.

- Masz doskonały humor - zauważyłam po chwili.

- Dzisiaj *Rapsodia*... - zanuciła Pepa w odpowiedzi, przypominając o pewnym wyjątkowo głupim serialu, od którego była uzależniona równie beznadziejnie jak od błyszczyka. No tak. Jeżeli chcesz uszczęśliwić pieska, kup mu trzydzieści deko cielęciny. Jeżeli chcesz, aby Pepa podskakiwała, obiecaj jej *Rapsodię śmierci*. Melodyjka, którą podśpiewywała, pochodziła z czołówki tej badziewnej produkcji i gdy rozbrzmiała wyjątkowo czysto, zdałam sobie sprawę, że właśnie zadzwonił telefon Pepy. Rozpoznałam ten dzwonek bez trudu, ponieważ stale się z niego naśmiewałam.

- Gdzie mi się schowałeś, pacanie? - Pepa zwróciła się do swojej komórki. Zanim odnalazła ją w czeluściach przewieszanej przez ramię torby, wyciągnęła: a) lusterko, b) puderniczkę, c) dwa tusze do rzęs, d) specyfik o nazwie „mgiełka samoopalająca do twarzy”, e) paczkę chusteczek higienicznych w specjalnym etui z frędzelkami, f) całe naręcze błyszczyków we wszystkich możliwych odcieniach.

- Potrzywasz? - pytała raz za razem i nie czekając na odpowiedź, wręczała mi kolejne klamoty.

W momencie gdy jej ręka trafiła wreszcie na właściwy przedmiot - w koszmarnym, różowym, futrzanym futeraliku z pomponikami - on przestał dzwonić. Pepa spojrzała na wyświetlacz.

- Może to i lepiej - mruknęła tajemniczo, po czym wrzuciła telefon z powrotem na dno swojej zagraconej torby.

- Kto dzwonił? - zapytałam, tak jak tego oczekiwała.

- Jeden gość z Rendez-vous - odparła ponuro. - Dosyć toksyczny koleś - dorzuciła półgębkiem.

„Toksyczny koleś”... Tym terminem, zaanektowanym z jakiegoś kobiecego pisma, moje przyjaciółki określały wszystkich typków, od których zdecydowanie lepiej trzymać się z daleka.

- Dlaczego? - chciałam wiedzieć.

- Intuicja - wyjaśniła. - Niedawno rozwiązałam taki psychotest na portalu Babskie Sprawy i wyszło, że mam zabójczo dobrze rozwiniętą kobiecą intuicję - oświadczyła z dumą i powagą.

- Mhm, jeśli tak... Babskie Sprawy nie mogą się mylić. - Poklepałam ją po ramieniu, ale chyba nie wyczuła ironii.

Ech, ta Pepa... Czasami wydaje mi się, że jej horyzonty są tak wąskie, jakby ograniczały je ramy kiczowatej widokówki. Na przykład internet jest jej potrzebny jedynie, aby: śledzić plotki o VIP-ach na Pudelku, zamieszczać swoje upozowane zdjęcia na Facebooku,

czytać recenzje kosmetycznych nowinek na wizaz.pl, wypisywać głupawe komentarze na oficjalnej stronie fanklubowiczów *Rapsodii Śmierci* i udzielać się na portalach randkowych w rodzaju Rendez-vous.pl... Być może jednak jestem nieobiektywna, bo przemawia przeze mnie zazdrość. Dokładnie kilka dni temu pozbawiono mnie internetu, ponieważ... Wyznam Wam przyczynę, kiedy poznamy się lepiej, dobrze? W przeciwnym razie moglibyście skreślić mnie na wstępie... Pisząc „Wam”, mam na myśli potomnych, którzy być może znajdą ten pamiętnik w jakichś zgliszczach, za dwieście lat. Być może uronią łzę nad ciężkim życiem Wandzi Pliszki, a może nawet – kto wie – umieszczą ten pamiętnik w kanonie lektur, pośród najcenniejszych historycznych tekstów?... Zwracam uwagę, że wspomniani „potomni” to jedyne osoby upoważnione do lektury mych zapisków. Innych osobników, zwłaszcza o personaliach Kuba Pliszka, uprasza się o odłożenie zeszytu na miejsce, pod groźbą smażenia się w ogniu piekielnym i zakazu spożywania słodyczy przez całe życie pozagrobowe!!! [...]

Więcej informacji na stronie <http://www.nk.com.pl>